

Aleksander Radwański
Zakład Narodowy im. Ossolińskich, EBIB

Zawód: torreador

Streszczenie: Autor analizuje sytuację bibliotekarzy na rynku pracy i uwarunkowania związane z ich zatrudnieniem. Przedstawia konkretne problemy z jakimi borykają się bibliotekarze w swoich instytucjach, jak są finansowani, czy podejmują działania zbiorowe w kierunku poprawienia swojej sytuacji zawodowej i jakie są na to szanse w polskiej rzeczywistości.

Słowa kluczowe: zawód bibliotekarza, warunki pracy bibliotecznej, jakość pracy

W stanie wojennym, w minionym stuleciu, popularny był dowcip o milicji zatrzymującej podpitego jegomościa, który błądził po ulicach w godzinach południowych. Trzeba gwoli edukacji młodego pokolenia wyjaśnić, że w tym czasie obowiązywał nakaz pracy, zaś nadmiernie zrelaksowani, niepracujący obywatele nosili miano "pasożytów społecznych". Milicjant zagadnął więc:

- Czemu nie w pracy, Obywatelu?
- Chciałbym...ale nie ma dla mnie roboty, Panie Władzo...
- A kim jesteście z zawodu?
- Torreadorem! - rzekł dumnie jegomość, lekko chwiejąc się na nogach.

Wśród wielu przesłań, jakie niesie ten żart, można wysnuć i takie, że ani duma z zawodu, ani nakazy administracyjne nie mają znaczenia, jeśli abstrahują od ekonomicznej rzeczywistości.

Towar nie ma godności

Na rynku pracy towarem jest świadczenie pracy. Posługiwanie się zatem pojęciem "godnych zarobków" czy "godziwego wynagrodzenia" jest równie sensowne, co mówienie o godnej cenie kurczaka lub godziwej fakturze za przeróbkę spodni. Warto może przypomnieć sobie, jak działa rynek. W klasycznym ujęciu wartość towaru określa równowaga pomiędzy popytem a podażą. Oczywiście na tę równowagę wpływa ogromna liczba różnych czynników, dlatego też często wartość określa się nie względem równowagi, ale względem poziomu "optymizmu konsumenckiego". Ujmując rzecz prościej, towar kosztuje tyle, ile klient skłonny jest zapłacić.

Spółeczeństwo — nasz klient, poprzez różne swoje emanacje zwane m.in. organami założycielskimi, skłonne jest płacić bibliotekarzom za ich towar niewiele. Ponieważ po stronie popytu trudno się spodziewać radykalnych zmian (raczej nie wystąpi pałace zapotrzebowanie na dodatkową liczbę wykształconych bibliotekarzy), wzrost wartości można osiągnąć tylko ograniczając podaź. Inaczej mówiąc, zgadzając się na niskie zarobki, sami psujemy rynek. Problem jest jednak bardziej złożony, bowiem nawet jeśli nie podejmiemy zbyt nisko opłacanej pracy, zrobi to kto inny (najczęściej amator w zawodzie bibliotekarza). Bojąc się tego, zgadzamy się na niskie uposażenia i sami budujemy pułapkę, w którą wpadają kolejne pokolenia bibliotekarzy. Przerwaniem błędnego koła byłoby wytworzenie sytuacji, w której wykształcony bibliotekarz nie podejmowałby źle opłacanej pracy, zaś biblioteki nie mogłyby zatrudniać amatorów. Zabiegiem sprzyjającym takiej sytuacji jest ustanowienie korporacji zawodowej o ściśle określonej pragmatyce. Wymagałoby to jednak porzucenia mitów o posłannictwie i daleko idącą profesjonalizację, która niejednego wykształconego bibliotekarza mogłaby uplasować w gronie amatorów.

Wywarcie realnego wpływu na rynek pracy jest żmudnym zadaniem na wiele lat. Jeśli jednak nie zaczniemy tego procesu, wiecznie będziemy wypatrywać “dobrego ojca” w osobie lokalnego włodarza lub państwa, które pochylając się nad naszym trudnym losem, postanowi go polepszyć. To toksyczna mrzonka, rodząca jedynie gorycz i rozczarowanie, stanowiąca podstawę zjawiska o nazwie ”syndrom wypalenia zawodowego”.

Jakość nie jest wolontariuszem

Trzeba stwierdzić, że lekcji z ekonomii nie odrobili nie tylko bibliotekarze, ale też ich pracodawcy. Rosnące wymagania w stosunku do pracy bibliotekarza (choćby obsługa wielu nowych urządzeń i form zbiorów) nie znajdują żadnego odbicia w jej wartości rynkowej. Pojawia się zatem znane w ekonomii zjawisko wypierania wysokiej jakości przez nominalnie równoważne substytuty niższej jakości. Współczesny bibliotekarz w większym stopniu symuluje rozbudowane kompetencje, niż je rzeczywiście posiada. Wynika to z prostego faktu, że osoba sprawnie posługująca się nowymi technologiami, znająca języki i dobrze komunikująca się z klientami, ma na rynku pracy znacznie bardziej atrakcyjne ścieżki kariery niż ekonomiczna wegetacja w bibliotece.

Obraz rynku zaciemnia również entuzjastycznie i idealistycznie nastawiona młodzież, która podejmuje niskopłatną pracę w nadziei na relatywnie szybki awans, albo wręcz oferująca swoją pracę na zasadach wolontariatu. Utwierdza to dyrektorów i administratorów bibliotek w przekonaniu, że biblioteka jest tak atrakcyjnym miejscem

pracy, że motywacja ekonomiczna nie jest potrzebna. Istnieje też przykład wielu krajów, gdzie młodzi pracownicy i wolontariusze potrafią zastąpić znaczącą część fachowego personelu. Czym innym jest jednak wolontariat w krajach, gdzie pensja wynosi kilkukrotne miesięczne minimum socjalne, a czym innym w krajach, gdzie jest do takiego miesięcznego minimum zbliżona. Mówiąc o minimum socjalnym, mam na myśli środki niezbędne do pokrycia opłat (mieszkanie, prąd, woda, telefon) i niewyszukanego menu służącego odtworzeniu sił biologicznych. Inaczej rzecz ujmując, wolontariat to rozwiązanie dla krajów, gdzie istnieje problem wolnego czasu, a nie problem walki o przetrwanie. W związku z tym rdzeń wolontariatu w Polsce stanowią uczniowie i studenci, czyli osoby utrzymywane przez rodziny lub instytucje stypendialne. Niczego nie ujmując tym młodym ludziom — nie są to fachowcy, którym można powierzyć profesjonalną działalność.

Zależność pomiędzy wynagrodzeniem a fachowością jest więc dość mocna. Zdarzają się oczywiście dobrzy i marnie zarabiający fachowcy, ale są to raczej zaszłości, które będą zanikać. Zawsze mogą się też zdarzyć wyjątki. Statystycznie jednak rządzi reguła — im mniej pieniędzy, tym mniej fachowości. Jakim cudem miałyby się zatem pojawić wysoka jakość?

Niepiśmienna parakultura i mitologia czytelnictwa

Współczesny konsument kultury nie musi niczego opisywać. Wystarczy link do obrazu, filmu, nagrania dźwiękowego, rzadziej tekstu. Coraz mniej też rozumie opisy — szczególnie gdy są długie. Zanik nawyku pogłębionej lektury pociąga za sobą zmiany nawyków intelektualnych. Znakomicie ujmuje to Jacek Dukaj: *Rozumowania wymagające utrzymania w głowie długich łańcuchów implikacji (A ? B ? C ? D ? E ?) okazują się coraz trudniejsze. Umysły zguglowane sprawnie natomiast rozumują „przez sąsiedztwo”, operując wtedy nawet na bardzo dużych zbiorach danych ({A, B, C, D} {E, F, B} {A, C, E, G, H, I}). Rozumowania asocjacyjne zastępują inferencje i implikacje właściwie we wszystkich dziedzinach życia. W reklamie dawno stały się normą — ale również w debacie publicznej i coraz częściej w artykułach prasowych przemawia się do nas porzuciwszy argumentację, w których jedna myśl wynika z drugiej, na rzecz huraganowych salw niepowiązanych stwierdzeń* (<http://tygodnik.onet.pl/1,51179,druk.html>¹).

Nie czytając, stajemy się nie tylko ubożsi o treści zawarte w dziełach piśmienniczych, ale tracimy część dyspozycji poznawczych, niezbędnych dla rozumienia kultury. Rekompensatą jest intensywna sensorycznie parakultura, posługująca się sformatowanym strumieniem przekazu medialnego, który cechuje jednocześnie

¹ Wszystkie odwołania do stron zawierają informacje aktualne w dniu 25 października 2011 r.

zaskakujące ubóstwo idei rozumianych jako przesłanie. Media nie walczą o zrozumienie tylko o uwagę. Rozwój zastąpiony został lansowaniem, zaś intymna refleksja publiczną ekspresją. W tym świecie “dziania się” wartością jest sama szansa zaistnienia i czysto formalnej “odróżnialności”, najczęściej bardzo ograniczonej w czasie. Warstwa aksjologiczna, a być może nawet semantyczna, stanowi tylko instrumentarium wydarzeń, równie sformatowane jak sama forma przekazu. Tak oto macluhanowska jedność przekaźnika i przekazu została urzeczywistniona. Zaskakujące jest tylko to, że głębiej ziele poznawcza pustka, a konkretnie ekonomia (uwaga odbiorcy = pieniądze reklamodawców).

W kontekście tych zjawisk czytelnictwo uległo mitologizacji i fetyszyzacji. Promowane jest czytanie jako takie, bez żadnej refleksji na temat doboru lektury ani wskazania celu czy natury tego procesu. Przesłanie “czytając jesteś lepszy” jest trudne do zaakceptowania, zaś akcje w rodzaju “ustąp miejsca czytającemu” wydają się chybione w sytuacji, kiedy środkami komunikacji nie poruszają się wyłącznie sprawni, młodzi i bezdietni pasażerowie. Czytanie staje się w ten sposób rodzajem folkloru, który próbuje się wylansować poprzez mechanizmy “wydarzeń”, podczas gdy w istocie stanowi ono kompetencję przyswajania dóbr kultury w zupełnie innej konwencji, właśnie “niewydarzeniowej”, osobistej, niewidowiskowej, zewnętrznie pasywnej, ukrytej dla obserwatora. Czytelnik zatopiony w lekturze jest monadą. Interakcje mogą powstać dopiero poprzez komentowanie zakończonej lektury. Zamiast więc promować czytanie, jako rodzaj działania powinno się promować formy działania wynikające z czytania. Rzuca to pewne światło na dziwną manierę niedostrzegania w bibliotekach ich konstytutywnych cech, czyli normalnej pragmatyki bibliotecznej. Bo tak naprawdę, gdy czytanie ulega mitologizacji, rola biblioteki staje się niejasna. Czy to ma być świątynia czy supermarket?

“Makdonaldyzacja” biblioteczna

Makdonaldyzacja ma swoje pozytywne aspekty. Są nimi m.in. policzalność i standaryzacja. Relacje ilościowe pomiędzy liczbą mieszkańców, powierzchnią użytkową biblioteki, liczbą personelu, wielkością zbiorów, strukturą i liczbą nowości dają się wyrazić w postaci stosunków liczbowych. Nic nie stoi na przeszkodzie, by ustandaryzować te parametry, określając rozsądne minimum, poniżej którego nie da się prowadzić działalności bibliotecznej i już. Tak jak współczesnego hydraulika nie namówimy, by podłączył nam wodę, posługując się rurkami z odzysku i przyniesionymi z pobliskiej budowy reduktorami (jak to niegdyś bywało), tak też nie ma powodu, by bibliotekarze uprawiali partyzantkę, organizując działalność biblioteczną. Nie jesteśmy pionierami na krańcu świata, nie toczy się wojna, nie ma już zaborcy, okupanta ani

totalitaryzmu. Dlaczego mamy zatem akceptować brak toalety, ciasnotę czy brak pieniędzy na zakup nowości? Czy to w końcu nam ma zależeć na istnieniu biblioteki? Bibliotekarz jest ostatnią osobą, która może tu coś zrobić. Jak ów torreador jest ostatnią osobą, która mogłaby spowodować, by w Polsce odbywały się corridy.

Makdonaldyzacja ma też drugie, negatywne oblicze. Jest nim skrajna standaryzacja i ubóstwo oferty, przy nieograniczonej wymienialności pracowników. Wydaje się, że ta druga strona ma większe szanse zaistnienia w polskich bibliotekach niż pierwsza. W programach pomocy bibliotekom uderza koncentracja na aspektach, które wykraczają poza typową działalność biblioteczną, jakby do jej realizacji nie były potrzebne żadne kompetencje ani środki. Wzmacnia się funkcje rekreacyjne, edukacyjne, informacyjne popychając biblioteki w kierunku centrów kultury, miejsca spotkań i spędzania wolnego czasu. Biblioteka staje się więc areną „wydarzeń”. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie degradacja jej zasadniczej funkcji — tworzenia zaplecza dla uprawiania czytelnictwa. To bowiem odróżnia bibliotekę od świetlicy czy klubokawiarni, że posiada zasoby umożliwiające rozwijanie zainteresowań opartych na lekturze, a nie uczestnictwie w „wydarzeniach”. Grozi nam zatem nowy rodzaj bibliotekarstwa — w estetycznych pomieszczeniach będzie oferowany standardowy „mix” hitów, lektur szkolnych i klasyki, serwowany przez uprzejmych acz niezbyt zorientowanych w subtelnościach literatury pracowników. Problem jakości pracy bibliotekarza rozwiąże się samorzutnie. Nie będzie ona do niczego potrzebna. Tak jak nie jest potrzebna kreatywność dziewczyny podającej nam frytki.

Problemy z tożsamością

Problemem, przed którym stają bibliotekarze, a szczególnie studenci bibliotekoznawstwa jest coraz częściej konkretny plan kariery w tym zawodzie. A raczej brak tego planu. W ośrodkach akademickich przeważa eklektyczna wizja utkana z myślenia życzeniowego, sentymentów okraszonych tu i ówdzie czysto teoretyczną wiedzą o zarządzaniu. Zderzenie z realnym życiem absolwenta bibliotekoznawstwa można przyrównać chyba tylko do wrażeń alumna, który przypadkiem zabłąkał się do dzielnic czerwonych latarni.

Trzymanie się zmurszałego paradygmatu „kulturalnego erudyty” jest dziś nie do obrony. Bibliotekarz musi mieć aktywny stosunek do mediów, technologii i potrzeb informacyjnych czytelników. Nie jestem jednak zwolennikiem modnego ostatnio poglądu, reprezentowanego np. przez Seta Godina (http://sethgodin.typepad.com/seths_blog/2011/05/the-future-of-the-library.html), że zawód ten będzie ewoluował do zupełnie „bezksiążkowej” formy kreatywnego przewodnika po świecie

informacji. Owszem taki zawód się pojawi, ale nie będzie to już bibliotekarz, tak jak ptaki nie są dinozaurami, choć to jedyni sukcesorzy dawnych władców Ziemi.

To, co odróżnia bibliotekarza od każdej pani z budki uwiecznionej napisem „informacja”, jest umiejętność pracy z tekstem i umiejętność poruszania się w dużych zbiorach tekstów. Kompetencje informacyjne są niezbędne, ale nie są to umiejętności swoiste dla bibliotekarzy. Na wielu stanowiskach, w wielu innych zawodach kompetencje informacyjne są równie potrzebne i rozwijane intensywniej nawet niż w naszej profesji.

Na czym ów zawód ma zatem praktycznie polegać? Moim zdaniem na głębokiej, profesjonalnej wiedzy o pragmatyce bibliotecznej, pozwalającej na sprawne zorganizowanie dowolnej biblioteki o zadanych parametrach. Nie chodzi tu o praktyczną umiejętność katalogowania formalnego czy biegłość we wdrażaniu komputeryzacji. To są szczegóły, które można cyzelować latami do poziomu mistrzowskiego. I w takich szczegółach tonie wizja całości, czyli świadomość, czym jest biblioteka i czemu ludzie potrzebują z niej korzystać, a przede wszystkim, dlaczego potrzebują czytać.

Być bibliotekarzem i przeżyć

Przekonanie, że bibliotekarz jest popularną profesją, która będzie zawsze, nie jest dla mnie wcale tak bardzo uzasadnione. Z dość dużą łatwością mogę sobie wyobrazić świat, gdzie bibliotekarz jest równie egzotycznym zawodem, jak ródźkarz czy operowy tenor bohaterski. Makdonaldyzacja placówek bibliotecznych może doprowadzić do eliminacji fachowych pracowników, na rzecz miłych, młodych „podawaczy książek” (i innych mediów), z którymi klient poczuje się bardziej komfortowo, tym bardziej, że przychodząc do „biblioteki” nie będzie oczekiwał kontaktu z lekturą. Taka ewolucja jest do pomyślenia i do pewnego stopnia nawet się odbywa.

Przed bibliotekarzami stają dwa ważne zadania — doprowadzić do prawdziwej profesjonalizacji zawodu i umocować go w realiach ekonomicznych. Przestańmy marzyć o corridach w Polsce, bo czeka nas wtedy tylko kariera torreadorów. Nie będzie takiego momentu, że społeczeństwo „zakocha się” w czytaniu. Bibliotekarze nie są w stanie podnosić poziomu czytelnictwa, ponieważ użytkowników bibliotek nie ma co do tego zachęcać. Trzeba ich tylko sprawnie i fachowo obsłużyć. Prawdziwy problem stanowi publiczność nieczytająca, na którą nie mamy wpływu, bo nie mamy z nią kontaktu. Można próbować ten kontakt nawiązywać „na zewnątrz”, jednak konkurujemy tu o uwagę odbiorcy z koncernami medialnymi, widowiskami sportowymi i całym rynkiem reklamowym, mając do zaoferowania dość hermetyczne i trudno przekazywalne doświadczenie satysfakcji z lektury. Podsumowując: o czytelnictwo musi

zadbać całe społeczeństwo. Bibliotekarze mają natomiast stworzyć ofertę dla ludzi, którzy trafią do biblioteki. W tym momencie nie mogą się znaleźć w ruderze bez kibla, gdzie na półkach straszy makulatura, a zza kontuaru śledzi ich nieżyczliwe spojrzenie. Lepiej już żeby biblioteki w ogóle nie było, jeśli ma być taka.

Musimy być też świadomi, że na współczesnym rynku pracy nie można oczekiwać gwarancji stałego zatrudnienia w jednej profesji. Nie wyobrażając sobie innego zajęcia, starając się pozostać na stanowisku „za wszelką cenę”, stajemy się skłonni do akceptowania nędznych warunków i nędznej płacy. Nie wahajmy się zatem zdobywać innych kwalifikacji. Nie uczyni nas to mniej bibliotekarzami. I nie znajdziemy się w sytuacji tytułowego torreadora.

Artykuł był publikowany w Bibliotekarzu - nr 07-08/2011